All communications must be addressed:

**I. F. SMULSKI & Co.**
**565 Noble St.**
CHICAGO, ILL.

**I. F. SMULSKI I Sp.**
wydawcy.




Wychodzi co czwartek.

Kosztuje rocznie $1.00 Abonenci Gazety Katolickiej płacą tylko 50 c; do Europy: z Gazetą $3.00, bez Gazety $1.50. Abonament musi być naprzód opłacony. Pokwitowań nie ogłasza się. Gaz. Katolicka sama kosztuje $2,00.

**Rok XV.** CHICAGO, ILLINOIS, 30go WRZEŚNIA 1897 ROKU. **Nr. 39.**

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter. Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A. Feehan z Chicago.

**Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!**

**KALENDARZ.** — Czwartek 30 Września, Hieronima Piątek 1 Października, Remigiusz. Sobota 2 Października, Leodegard. Niedziela Października, M. B. Róż. Poniedziałek 4 Października, Franciszka. Wtorek 5 Października, Placyda. Sroda 6 Października, Brunona.

## Na Niedzielę XVII po Zielonych Świątkach.

*Ewangielia św. Mateusza w rozdziale XXII.*

W on czas: Przyśli do Jezusa Faryzeuszowie, i spytał Go jeden Zakonny Doktor, kusząc Go: Nauczycielu, które jest wielkie przykazanie w zakonie? Rzekł mu Jezus: Będziesz miłował Pana Boga twego za wszystkiego serca twego, i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkiej myśli twojej. Toć największe i najpierwsze przykazanie. A wtóre podobne jest temu: Będziesz miłował bliźniego twego jak samego siebie. Na tem dwojgu przykazań wszystek zakon zawisł i Prorocy. A gdy się Faryzeusze zebrali, spytał się ich Jezus mówiąc. Co się wam zda o Chrystusie? czyj jest Syn? Rrzekli mu: Dawidów. Rzekł im: Jakoż tedy Dawid w Duchu zowie Go Panem, mówiąc: Rzekł Pan Panu memu: siedź po prawicy mojej, aż położę nieprzyjacioły twoje podnóżkiem nóg twoich? Jeśli tedy Dawid zowie go Panem, jakoż jest Synem jego? A żaden nie mógł Mu odpowiedzieć słowa, ani śmiał żaden od owego dnia więcej Go pytać.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

## Ojcowskie rady.

Droższe nad skarby świata
Ojcowskie rady:
Czeka cię hojna zapłata,
Lecz idź w ich ślady.

# MĘCZENNICY CHIŃSCY.

Przez **ks. A. W.**

Ciąg dalszy.

VII.

Sędzia zwątpiwszy, żeby w ogóle jakimkolwiek sposobem coś wymódz można na bohaterach, wydał wyrok śmierci, który król niebawem potwierdził, bo Minch-Mench podobien do tygrysa, który tem więcej ofiar pragnie, im więcej krwi widzi. Skoro tylko męczennicy o tem się dowiedzieli, ucieszyli się wielce, że wnet się skonczy ich walka.

— Anamicki kapłan sobie sam hymn śmierci wygłosił, tak mówiąc:

,,Zawitaj ostry mieczu! Chcesz być moim wrogiem, a jesteś moim prawdziwym przyjacielem. Ty mnie chcesz zaślubić ze śmiercią, a dajesz mi w małżeństwo żywot! Rozcinasz węzły ziemskie, abym mógł zawrzeć niebieskie! Ty ścinasz kwiat, co padając rzuca w ziemię ziarno, z którego drugi kwiat daleko wspanialszy zakwitnie w barwy tęczy i szmaragdów. Takie kwiaty rosną w mego Ojca Niebieskiego ogrodzie! . Zawitaj mieczu, witaj ostry mieczu! Siedziałem jak chłopczyna wijąc sobie z kwiatków wieniec, spozierając na ziemię i szukając ich, a ty mi je ścinasz ostrzem twem wsz-

zując ku niebu! Tam więc teraz spozieram. Witaj dobry mieczu! Twoje uderzenie pasuje mnie na rycerza niebios. Witaj czcigodny mieczu! Kwiatki czerwone zaległy na tobie, a z nich uplotą dla mnie wieniec dziewice Nieba. Witaj nadobny mieczu! Ty purpurą farbujesz szaty moje, abym znalazł miejsce na godach weselnych. Witaj luby mieczu! Tak miło, słodko spoglądasz — słońce się w tobie zwierciedli, jakbyś mi chciał powiedzieć: nie bój się! Nie, ja się nie lękam, nie boję. Miecz ten zsyła mi Pan mój i wódz mój, abym go nosił za nagrodę na cześć Jego, bom się spotykał pod jego chorągwią. Zawitaj kochany mieczu!"

— Właśnie w modlitwie pogrążon siedział sobie Michał, gdy się naraz drzwi otworzyły i nadobna dzieweczka weszła — ku niemu bieży, do nóg mu pada i z radością i boleścią zarazem woła: „Mój ojcze, mój drogi ojcze!" Była to Michała jedenastoletnia córeczka.

Zdumiony zapytał ją ojciec: „Zkąd tu ty moje dziecko?"

— „Ojcze! jam pragnęła jeszcze raz ciebie widzieć, nim pójdziesz do nieba — jeszcze raz wynurzyć ci mą miłość — pragnęłam Twego błogosławieństwa. — Ojcze daruj!... wyszłam z domu potajemnie — moje do ciebie przywiązanie nie dało mi żadnego spokoju, a matka by mi wzbroniła. Tylko Thang–Tuam, brat mój ukochany wie o tem; byłby przyszedł ze mną, alem nie pozwoliła, by się matka o niego nie troskała; byłoby też zresztą dla niego za daleko. Każe cię on pozdrowić i prosi, abyś się o nas nie kłopotał, bo Ojciec w Niebiesiech będzie Ojcem naszym, a Marya drugą matką naszą. Oto i ja proszę. Synek twój przysyła ci krzyżyk, który potajemnie sam zrobił. Zechciej go, ojcze, nosić na pamiątkę i nań spojrzeć, gdybyś był smutny".

— „Dobrze, moje dziecko, bardzo dobrze. Jakżeś się mogła odważyć tu dotąd sama? Czyś się nie bała żołnierzy na straży będących?

— „Przedostałam się bez obawy i bojaźni, a gdy mnie pytali, com ja za jedna i po co tu idę, odpowiedziałam: jestem córką uwięzionego Mi, idę do mego nieszczęśliwego ojca, puśćcie mnie, dobrzy ludzie i nie czyńcie mi nic złego, a wtedy puścili mnie rozmawiając grzecznie i uprzejmie. Tak tu przybyłam".

„A matka czy smutna, jak się mają malcy?" pytał dalej Ojciec.

„Matka, co prawda smutna, ale się niczego nie boi. Codzień modlimy się za ojca i dziadka, aby mężny stawiali opór i nie postradali Nieba".

Co usłyszawszy Michał, padł na kolana i tak się modlił: „Dzięki Ci, Ojcze Niebieski, za taką rodzinę!"

— „Ojczulku, czemuż twarz twoja taka blada, a ręce tak czerwone? Czy ci mężowie owi co złego wyrządzili?"

„Dziecię moje, ty moja pociecho! Tą miłością, którą mnie darzysz, podwójnie obsypuj matkę i bądź jej pociechą po wszystkie dni jej żywota. Wtedy tak czynić będziesz, jak sobie ojciec twój życzy. Bądź zawsze wierna twemu Zbawicielowi, chroń cnotę jak najdroższego klejnotu, a twą św. wiarę przekładaj nade wszystkie skarby całego świata. A jak oczy twoje kąpać się będą we łzach, wtedy rzuć się w objęcia Jezusowe. Teraz, drogie dziecko, wracaj, aby się o ciebie nie kłopotała matka i nie smuć się, bo ojciec twój nie jest nieszczęśliwy, on swej świętej wiary nigdy się nie zaprze. Wnet zostanę Aniołem, jeźli Bóg Wszechmogący pozwoli, a chrzest ze krwi mnie oczyści. Wtedy będziem zupełnie szczęśliwi, wtedy zawsze będę przy tobie, kochane dziecię i przy was wszystkich".

— Córka upadła ojcu do nóg, ucałowała jego ręce, nogi i kajdany nie mogąc się z

nim rozstać. Ojciec przycisł ją do serca, położył ręce na głowę jej, otarł sobie łzy, a dziewczynka odeszła wreszcie w milczeniu.

— Noc zapadła. Po cichuteńku weszła pewna postać do Michała, a znany głos tak się odezwał: ,,Mój bracie, przychodzę do ciebie z łaską i wiatykiem, który ci na jutrzejszą podróż potrzebny".

Michał rzucił się zaraz na kolana, uderzył się w piersi z największą mówiąc pokorą: ,,Panie! nie jestem godzien, abyś wszedł do serca mego, ale rzeknij tylko słowo, a będzie zbawiona dusza moja". O jakżem szczęśliwy! Ostatnie moje życzenia spełnione".

Wyspowiadał się z grzechów przed anamickim kapłanem i w najgłębszej pokorze posilił się chlebem aniołów, chlebem żywota.

I Antoni Dich dostąpił tego samego szczęścia. ,,Błogo mi i słodko, zawołał, takim pokarmem posilon, jak Eliasz, dostanę się na górę — na stromą górę — na górę Golgota".

Napłanowi Nam nadarzyła się sposobność, że te boskie tajemnice z rąk europejskiego otrzymał kapłana.

VIII.

Działo — gdy żołnierze prowadzili męczenników z więzienia.

,,Już ostatnia walka, wnet będzie zwycięztwo nasze! Idźmy za Jezusem! Tylko odważnie towarzysze moi", rzekł Michał. ,,Jest mi, jakby nowa siła wstąpiła w stare kości moje, jakby krew młodzieńcza krążyła po żyłach".

,,Nie lękam się, przemówił starzec, dziś obchodzim dzień uroczysty — nadobny. Idziem do domu Pana. Już słyszę niebieskie pienia, hymny chórów anielskich. — Widzę światło gorejące na złotym ołtarzu, światło świata, światło odwieczne, a słońce nasze — to oblicze Boga. Błogo nam".

,,Idziem na gody mając szaty godowe, purpurowa odzież okrywa nasze członki, nasze drogie kamienie błyszczą i lampę mamy w ręku. Zapukamy do bramy, a oblubieniec otworzy ją nam, bo mamy szaty godowe, szatę purpurową, którą on nosił. Znajdziem miejsce u stołu jego". Tak mówił kapłan.

,,Idziem w świętym pochodzie — w procesyi — krzyż przed nami i my wielbim krzyż, modlim się do Ukrzyżowanego i kadzidło i palmy Mu dajem w ofierze. Chorągwie powiewają i wiodą do zwycięztwa, a Pan wśród nas, co walczy z nami. Idziem na jego górę, wstępujemy na górę oliwną, dalej na Golgotę, a wreszcie do Nieba".

Tedy staruszek podnosząc swój głos rzekł:

,,U bram czekają na nas wysłańcy Pana, nasi bracia w purpurze, nasze siostry w bieli z liliami, niosąc palmy wołają: Witamy was, bracia! Wnijdźcie otwartą bramą! Tam Pan Zastępów da nam palmę, upadniem i ukorzym się przed jego Tronem i będziem oglądali słońce duchów, co nas oświeca, ogrzewa".

Daremnie broniono ludowi przystępu, aby nie patrzał na tryumf tych bohaterów wiary i nie sławił ich męztwa.

Wtedy słyszeć się dały następnie głosy wśród tłumu: ,,Idą jak rycerze, jakby szli na gody, na ucztę jaką. To wielcy mężowie. Nie wiedzą, co bojaźń".

,,Nic sobie nie robią z dybów, rózg i miecza, zapewne wstąpił Pan z Nieba w ich serca".

,,Oni mają chleb cudów, a gdy nim się posilą, nie boją się niczego, nic ich od wiary oderwać nie może. Trzeba chrzest przyjąć, bo religia która takiego męztwa udziela, gardzi śmiercią — zniewala do czci i uwielbienia".

,,Minch-Mench, szepnął inny, podo-

bien do drzewa Bohorupa, kto w cieniu jego przebywa, zginie zabity wyziewami jego, jakby go jadowity wąż ukąsił".

— ,,To głupcy, mówili inni. Bezrozumne zwierzęta cenią wartość ich życia; łania uchodzi przed strzelcem, ptak ulatuje zwietrzywszy sidła; kurczęta kryją się pod skrzydła swej kury dostrzegłszy jastrzębia, tem bardziej powinien człowiek cenić życie".

— ,,Z królami wojować to niebezpieczna sprawa".

— ,,Śmierć jest zbrodnia nagrodą, a sprzeciwianie się woli króla, obrazą majestatu".

— ,,Oby tylko takich mieć zbrodniarzy" mówili inni.

— ,,Żal mi tego męża bohatera siwizną pokrytego — i drugiego o tych delikatnych rysach. Pierwszy filarem sprawiedliwości, drugi ojcem biednych sierót, a trzeci zdaje się być nadziemską istotą".

— ,,Jeszcze dla was ratunek, zdepcie krzyż".

— ,,Prędzej świat zaginie, nim to uczynim".

Na słowa te wielu z widzów rzęsiste oklaski wydało.

,,Jak kochają swego Boga, jak oni go czczą. Stójcie mężnie, bracia! Aniołowie spoglądają na was z upodobaniem — my za was się modlim". — Szepnęło im kilku chrześcian wśród tych głosów.

Przybyli nareszcie na plac egzekucyi. Kapłan bez wachania się wstąpił na wzgórek, a Michał prowadził teścia. Szereg żołnierzy otoczył męczenników. Do Michała rzekł kat:

— ,,Daj mi pięć ligatur, to jednem cięciem zetnę ci kark, byś się nie męczył".

— ,,Zetnij go i stu cięciami, jeźli ci się podoba, byleś tylko odciął głowę, to mi wystarczy. Ligatur, na których w domu nie zbywa, nie otrzymasz, wolę one zostawić ubogim". Dokończenie nastąpi.

# ŚMIERĆ ZDRAJCY.

Ilu jest członków we waszym tajnym związku?

— Dwudziestu i dwóch, ekscelencyo, razem ze mną, lecz ja...

— Nie potrzebujesz pan o tem mówić, od pana będzie zależało, aby się okazać godnym naszego zaufania i łaski cara.

— Zaręczam, że nie mieliśmy żadnych politycznych celów.

— Na to nie mogę zważać. Przyniósł Pan spis członków?

— Oto jest, ekscelencyo.

Naczelnik tajnej policyi wziął papier podany sobie i po cichu porównywał go z aktami leżącemi na stole.

— Beliński, — odezwał się nagle, ostro patrząc na człowieka przed sobą stojącego, — też do was należy?

— On też do związku należy, lecz zaręczam, żeśmy się tylko na to schodzili, aby czytać książki o sprawach spółecznych.

— Na to nie mogę zważać, jak już powiedziałem, dla tego niech pan milczy i odpowiada tylko na moje zapytania.

Generał przejrzał raz jeszcze spis członków, mrucząc pod nosem: "Bandi, Lubanow, Sobolis, o tych trzech nie wiedziałem." Następnie się odwrócił i rzekł:

— Dobrześ pan zrobił, panie Radowicz, przekona się pan, że rząd cara jest wdzięcznym dla tych, którzy mu służą. Ostatni uczynek pana nie tylko zgładzi dawniejsze winy pana, lecz przyniesie jeszcze wielką nagrodę.

— Czy mógłbym się ośmielić uczynić jeszcze jednę uwagę, ekscelencyo?

— Mów pan śmiało, co jeszcze pan ma na sercu? Powiedziałem panu, że nie potrzebujesz się niczego obawiać, a ja przecież mam dosyć mocy, aby dotrzymać słowa.

— To prawda, ale jednak....

— Na co?

— Życie moje nie warte ani rubla, skoro się wyda, żem zdradził swych towarzyszy.

— O tem powinien pan był pamiętać, nim wstąpiłeś do związku. Lecz w jaki sposób mamy pana ochronić?

— Skoro wszyscy zostaną uwięzieni, to proszę i mnie uwięzić.

— A więc chcesz pan razem z drugimi pójść do więzienia?

— I przed sąd.

— A może i być skazanym na karę, jeżeli pan sobie tego życzy? A potem?

— Potem chciałbem, aby mnie razem z mniej winnymi ułaskawiono, aby nie było na mnie żadnego podejrzenia.

— Aha, rozumiem pana. Bądź pan spokojnym, wszystko się stanie według życzenia pana, niech się już pan niczego nie lęka.

— Dziękuję waszej ekscelencyi. Czy nie ma dla mnie innych rozkazów?

— Nie, możesz pan odejść.

Naczelnik policyi uśmiechnął się, gdy zdrajca wyszedł. Dobrze sprawę sobie ułożył, pomyślał sobie, chce, aby się z nim obchodzono jak z innymi uwięzionymi, aby ci, którzy może uciekną, nie powiesili go. Niech się stanie według jego woli. Będzie miał, czego sobie życzy.

Tego samego wieczora uwięziono związkowców. Zdybano ich wszystkich na zebraniu, ponieważ nie przeczuwali żadnej zdrady. Byli to akademicy, artyści, młodzi lekarze. Zaprzeczali stanowczo, jakoby działali przeciw rządowi i twierdzili, że się zajmowali sprawami społecznemi a nie politycznemi. Wysłańcy generała Władimiro wicza ruszali ramionami z niedowierzaniem. Pomiędzy 22 związkowymi znajdował się też Radowicz, który najgłośniej oświadczał, że jest niewinnym. Po miesiącu zostali osądzeni. Radowicza nie powołano jako świadka, lecz osadzono na ławie oskarżonych. Wszystkich uznano jako winnych. Dwunastu zostało skazanych na Sybir. Radowicz przeląkł się, kiedy usłyszał, że został z dziewięcioma skazany na śmierć, chociaż wiedział, że w ten sposób została tylko wykonana umowa, jaką zrobił z generałem Władimirowiczem.

— Na śmierć przez rozstrzelanie, — rzekł, a zęby mu się trzęsły, kiedy powtarzał sobie wyrok, który miał być nazajutrz wykonany na wałach fortecznych. Przytem powtarzał sobie ciągle w duchu, że te słowa się jego nie tyczą, ponieważ car nawet zdrajcom musi słowa dotrzymać, bo inaczej niktby się nie znalazł, ktoby mu podobne przysługi wyświadczał. Beliński i inni wnet się uspokoili, a kiedy szybko się wszyscy pożegnali, został każdy odprowadzony do swej celi.

Niektórzy z więźniów spali tak spokojnie, jakoby okropny wyrok, który miał być nazajutrz spełniony, wcale ich nie obchodził.

Inaczej było z Radowiczem. Jako zwierz dziki w klatce biegał w celi więziennej, od czasu do czasu ze strachem słuchał przy drzwiach, czy nie słychać kroków wybawiciela, którzyby mu wrócił wolność i przyjemność życia. Noc długa, zbyt szybko ubiegała dla niego! Widział dziennie generała Władimirowicza na sądzie, i zdawało mu się, że tenże daje mu znaki oczami, że wszystko jest w porządku. Dwóch dozórców, którzy czuwali nad Radowiczem, daremnie starali się namówić go, aby się położył.

— Każdej chwili może nadejść, mruczał pod nosem, lepiej, że będę czuwał, aby nie zaszła żadna pomyłka.

Gardło mu wyschło, język do podniebienia przylgnął, lecz nie chciał przyjąć żadnej ochłody, i nie pił ani wody ani wina. Pot występował mu ze strachu na czole, drżał przed śmiercią. Nareszcie nieco światła zaczęło się przebijać przez ciemne okienko więzienne. To pierwsze promienie dnia,

który miał być ostatnim dla skazanych. Teraz zaczął Radowicz opowiadać z pospiechem dozórcom, że tylko na pozór został uwięziony. Dozórcy spojrzeli na siebie znacząco, jakoby litując się nad biednym więźniem, lecz nie mówili ani słowa.

Po kwadransie zgromadzono wszystkich dziesięciu, którym wybiła ostatnia godzina w podwórzu więzienia. Dziewięciu z nich było spokojnych i przygotowanych; dla nich śmierć przestała być gorzką, lecz jeden był ofiarą ogromnego strachu śmiertelnego, który było widać na twarzy wybladłej jak ściana i na ustach drzących. To był Radowicz, którego wszyscy inni pocieszali i odwagi mu dodawali.

— Chodź, Dymitrze, — wołał jeden, — wszyscy winniśmy narodowi naszemu życie, lepiej teraz zapłacić dług, aniżeli później.

— W górę głowę, kamracie, — wołał drugi, nie rób tym najemnikom tej przyjemności, aby cię widzieli smutnego.

— To pomyłka, to niepodobna, — wrzeszczał nieszczęśliwiec, patrząc osłupiałym wzrokiem. — Gdzie jest generał Władimirowicz?

— Jego nigdy nie ma przy egzekucyach, — odpowiedział żołnierz, którego się Radowicz pytał o generała. — Dał rozkazy swe ubiegłej nocy.

Potem ruszyli kandydaci śmierci ku wałom fortecznym. Ksiądz z krzyżem szedł naprzód, skazani postępowali jeden za drugim w szacie śmiertelnej, koszuli z białego płótna. Słońce nie było jeszcze weszło, kiedy szereg powoli posuwał się na miejsce śmierci. Życie skazanych liczyło się tylko na minuty i straszliwie szybko zbliżało się ku końcowi z każdym krokiem, który czyniono.

Nareszcie doszli na miejsce przeznaczone. Wbito w ziemię dziesięć pali, do których przywiązano skazanych. Przed nimi stanęła kompania żołnierzy, wymierzyli lufy ku skazańcom, a pierwsze promienie słońca odbijały się w stali. Na czele żołnierzy stał oficer, który miał dać znak, aby strzelono.

Spełniono ostatnie przysposobienia do śmierci. Podano krzyż do pocałowania skazanym. Potem ze strony sądu przeczytano jeszcze raz wyrok, złamano laskę i rzucono przed nogi skazanym. Głębokie milczenie panowało w tej chwili, możnaby było słyszeć lot muchy.

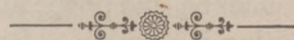
W tem zaszła rzecz nadspodziewana. Oficer, który miał dać znak do strzelania, zakomenderował: zwrot i odszedł z wojskiem. Skazanym oznajmiono, że car ich ułaskawił. Odwiązano ich od palów. Zdawało im się, że się przebudzili ze złego snu, z początku zdawało im się, że nie pojęli, co się z nimi stało. Potem uścisnęli się i życzyli sobie szczęścia, że wrócili do życia. Tylko jeden milczał i nie ruszył się. Kiedy go odwiązano, padł prosto twarzą na ziemię.

— Omdlał, — rzekł jeden z żołnierzy, — prędko wody.

Lekarz przystąpił.

— Niczego nie potrzebuje już, strach przed śmiercią zabił go.

Zmarły był Radowicz — zdrajca.



# ŚWIĘTA JADWIGA.

Księżna polska i szlązka.

Głód był na Szlązku. Młodziuchna Pani,
Anioł dobroci i cnoty,
Oddała złoto, perły, klejnoty....
Jednak mrą z głodu poddani.

Tam w wojnie z wrogiem Henryk Brodaty,
Tu walczy księżna łagodna
Z potworem głodu. Skarbiec bogaty
Jest wyczerpany.... aż do dna!

I śpichrze puste! Pomoru znaki
Piętnują wybladłe twarze....
Jako z drzew liście spadają ptaki....

Wsie puste.... ludne cmentarze....

Noc była głucha.... spiż wciąż podzwania
Na smutne: Ave Marya....
A na dźwięk jego Księżna się słania,
Jako od burzy lilia.

Nie przerwie ciszy kur z głodu niemy,
Tylko dzwon coraz żałośniej,
Niby głos ludu, wciąż żywiej i głośniej
Woła: "Giniemy!.... giniemy!....

Nie zginiesz ludu!.... jest broń potężna,
Co stanie w twojej obronie:
Modlitwa Świętej!.... Oto twa Księżna
Do nieba podniosła dłonie.

I jako Mojżesz rozmawia z Bogiem,
Któż tajnie oczy tej zbada?

..............................

Ranek zabłysnął. Przed zamku progiem
Lud woła: "Biada nam!.... biada!"

Pośrodku tłumu, jak Anioł Boży,
Jadwiga z jałmużną staje.
Czy przez Jej ręce Pan chleby mnoży
I głodnej rzeszy rozdaje?

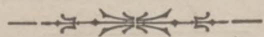
Mówią dworzanie, podziwem zdjęci:
"Wszak w zamku nie było chleba!....

..............................

O tajemnico! znali cię święci....
Z nimi wróciłaś do nieba.

Lecz klucz tu został.... Są może dłonie
Co skarb miłości otworzą,
Są może dusze, co z wiarą w łonie
Jak cudem chleby rozmnożą?

O tam od góry, biała lilia
Błogosławieństwa tchnie wonią....
I na dziękczynne Ave Marya
Radośnie śpiże już dzwonią!....



# Taka sama sekutnica.

Raz pewien książę wybrał się z swą uroczą żonką w podróż poślubną. Ponieważ nawzajem szczerze się kochali, więc świat wydawał im się raz jeszcze tak pięknym. Spoczęli pod drzewem, ażeby napawać się cudnym widokiem krajobrazu i uroczą ciszą, panującą dokoła. Mąż przytula żonę ku sobie i szepce jej z miłością do ucha:

— Czy jest może na świecie dwóch ludzi, którzyby się więcej miłowali od nas obojga?

Nastąpiła wymiana gorących słów i stanęło na tem, że miłość to najwyższy szczyt szczęścia na świecie. To szczęście zaś dostaje się w udziale i największemu nędzarzowi, gdy umysł jego świeży a serce czyste. Gdy tak gawędzą w najlepsze, przechodzi drogą jakiś chłopek, pośpiewując sobie wesoło.

— Najdroższy, — szepce księżna małżonkowi do ucha, — pozwól się zapytać owego rólnika, czy i on używa w równej mierze tego szczęścia, co my?

— Dobrze, zapytajmy się go.

Chłopek się zbliża.

— Mnie się zdaje, ojcze, — rozpoczął książę, — że wy musicie się czuć prawdziwie szczęśliwym na świecie, skoro sobie tak przyśpiewujecie. Jesteście nim w istocie?

— Dla czegoby nie, — odpowiada żartobliwie chłopek, — mam jakie takie utrzymanie, zdrowie mam dobre, żona i dziecko także zdrowe, jedzenie i picie mi smakuje, trosk i kłopotów na głowie nie mam, cóżby mi zatem miało dolegać? Boga mi chwalić należy i być z losu swego zadowolonym.

— Tak, to prawda, — odpowiada książę, — poznaję z słów waszych, że się czujecie szczęśliwym. Ale, każdy człowiek ma swego mola, co go gryzie i nie ma pewnie istoty na świecie, któraby kiedykolwiek nie miała jakiejbądź, choćby najmniejszej troski. Z pewnością i wy mieliście już kiedykolwiek coś podobnego w życiu?

— Nie, rzeczywiście, nie przypominam

sobie, — odpowiada rólnik, — jednak!... czasem, co prawda...

Księżna poczęła mu się teraz uważniej przypatrywać. Jakto, więc i ten człowiek, który czuje się tak szczęśliwym, miałby kłopoty w życiu?

— A więc, wszak powiedziałem, że i wy nie możecie być wolni od kłopotów życia codziennego, opowiadajcie zatem bez ogródki, jakiego rodzaju są wasze dolegliwości.

— Czasem, — odpowiada chłopek, drapiąc się za uchem, — mam biedę z mą kobietą! W dzień powszedni co prawda nie zaglądam do oberzy. bo nie ma na to czasu, a zresztą, po całodziennej utrudzającej pracy człowiek rad, że może spocząć w łóżku. Wypije się co najwyżej jeden lub dwa kubki i podąża do domu. Inaczej jednak w Niedzielę. Pan wie z pewnością, jak to jest z Niedzielą. Toć Niedziela jest na to, żeby wypocząć i użyć nieco rozrywki. Siedzi człowiek w towarzystwie jakiego dobrego przyjaciela, no wtedy zrobią się z dwóch kubków trzy; przyjdzie czasem i borowy, a to, powiadam Panu, wesoły mężczyzna, człowiek rad przepędzi kilka miłych chwil w jego towarzystwie, wypije się zatem kubek czwarty i piąty, przyjdzie też i nauczyciel. Przecież nie wypada usuwać się i od jego towarzystwa, tem więcej, że potrafi też coś powiedzieć, każę sobie podać kubek szósty i siódmy. W końcu przyłączy się do towarzystwa żandarm. I on ma pragnienie i on gniewałby się, gdyby mu odmówić. Wypije się więc kubek ósmy i dziewiąty, a czasem dziesiąty i jedenasty, zdarza się także, że przyłączy się do tego i kubek dwunasty, o jeden już w tym razie nie chodzi. Stara to rzecz, że człowiek po tylu kubkach, sam nie wie, dla czego robi się weselszym i w tym stanie przychodzi do domu. Żona naturalnie gniewa się na to, że człowiek wesoły, a ponieważ wie dobrze, zkąd się u mnie zwykle taka wesołość bierze, więc ani myśli podzielać się nią ze mną, ale sroży się w okropny sposób i wtedy najdobitniej pokazuje, co potrafi.

— Co? — wtrąca się na to oburzona księżniczka. — Wy chcecie oskarzać jeszcze waszą biedną żonę, że wpada w rozpacz, iż ma za męża pijaka obrzydłego? Wy jesteście okropnym mężem. Dwanaście kubków! I to opowiadacie z takiem zadowoleniem? Czy nie przyszło wam na myśl, że z powodu waszego opilstwa niszczycie szczęście małżeńskie i jako ojciec dajecie swym dzieciom brzydki przykład? Czy to się nie możecie zabawić w uczciwszy sposób?

Po tych słowach poczciwy rolnik trąca łokciem księcia i mrugając filuternie oczami, powiada do niego:

— Akurat taka sekutnica, jak moja żona.

Rzekł i opuścił oboje małżonków, spoglądając dziwnie uśmiechniętemi oczyma na oburzoną księżniczkę.

---

## OD ADMINISTRACYI.

Wszystkich pp. Abonentów, którzy zalegają z prenumeratą, uprasza się o niezwłoczne nadesłanie tejże. Każdy dolar w obecnych ciężkich czasach jest nam bardzo potrzebny. Podwójnie więc będziemy Szan. Abonentom wdzięczni, gdy nam nadeślą to, co się nam sprawiedliwie należy. Zwracamy się szczególniej do tych, którzy za dwa a nawet za trzy lata abonamentu nie zapłacili i prosimy ich raz jeszcze o uregulowanie rachunku.

---

Żona: Nie wiem co dziś gotować na obiad.

Mąż: Poradź się twojej książki kucharskiej.

Żona: Ach tam zawsze stoi bierze się, bierze... lecz o tem zkąd brać, ani słowa.



Pilność i lenistwo.

## PRZYJACIEL DZIECI.

*Następne stronice poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczać będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiaski moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dziatwę kochaną, aby po Bogu nadewszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.*

# MAŁY ROBINSON

## W PUSZCZY AMERYKAŃSKIEJ.



Dokończenie.

### XI.

*Nocleg. — Latarenki latające. — Jaguar — Przybycie do Panamaribo. — Niespodziewane spotkanie. — Janek odnajduje rodziców. – Powrót do Europy.*

Na nocleg pan Wojciech rozpalał zawsze ognisko z suchych gałęzi, dla Janka rozpinał namiocik ze swojej kołdry, urządzał mu miękkie posłanie z liści, dla siebie nie dbał o żadne wygody. Dnia pewnego zabił on przed wieczorem świnkę dziką, Pekari; zaraz też, wcześniej niż zwykle, rozłożył obóz, zdjął skórę ze świnki, część upiekł przy ognisku, resztę krajał i suszył, porozwieszawszy małe kawałki mięsa na kijach, zatkniętych w ziemię przy ognisku.

— Będziemy mieli zapas żywności na długo — rzekł do Janka — oszczędzę sobie nabojów; obawiam się, aby mi prochu nie zabrakło, zanim się dostaniemy do Panamaribo.

Janek, zjadłszy ze smakiem wieczerzę, usnął zaraz, jak tylko zmrok zapadł. W gorących krajach zwrotnikowych niema długich zimowych nocy, ale niema także i dni tak długich, jak u nas w Czerwcu. Tam dnie i noce są zawsze jednakowej długości, jak u nas w Kwietniu i Wrześniu.

Wyspał się tedy nasz Janek porządnie z wieczora i co mu się rzadko trafiało, przebudził się wśród nocy. Przetarł oczy, ciemno było zupełnie, ognisko dogasało, tylko węgle żarzyły się jeszcze w popiele. Pan Wojciech chrapał w najlepsze. Jankowi spać się już nie chciało, więc usiadł na posłaniu, potem wysunął się na sam brzeg swojego namiociku i zaczął się rozglądać na wszystkie strony, chcąc dojrzeć czego wśród ciemności.

Przed sobą nic nie obaczył, ale gdy się w bok odwrócił, o mało nie krzyknął z podziwu, tak niezwykły i piękny widok wzrok jego uderzył.

W pobliżu obozu stała gromadka drzew; wyniosłe ich wierzchołki przysłaniały ciemną swą masą błękit nieba, ale dalej migotały prześlicznie gwiazdeczki. Nie tylko jednak na niebie błyszczało i migotało. Wśród ciemności, zalegających ów lasek, Janek spostrzegł jakieś dziwne, latające płomyczki. Wyglądało to zupełnie, jak gdyby mnóstwo iskier ognistych unosiło się za podmuchem wiatru, lub drobniuteńkie błyskawice przemykały w powietrzu.

Janek patrzał na to z zachwyceniem, nie mogąc pojąć, coby to być mogło. A wtem pan Wojciech przeciągnął się, ziewnął, a Janek zaraz go rozbudził zupełnie, mówiąc:

— Niechno pan spojrzy w tę stronę; czy tam się co pali? Takie prześliczne iskierki latają, aż czasem jasno się robi wśród lasu i widać wszystkie listeczki. Co to może być takiego?

— A czy ty nigdy nie widziałeś świętojańskich robaczków? — zapytał pan Wojciech.

— O, czemu nie — odrzekł Janek — u nas w Sosnówce były takie śliczne w ogro-

dzie. Ależ świętojańskie robaczki to takie maleństwo....

— A ba! toż i nasze drzewa polskie i nasze rzeki, to maleństwo przy tutejszych. Tu widzisz słońce inaczej przygrzewa, wszystko bujniej rośnie i zwierzę i roślina. Te śliczne iskierki, te latające płomyczki, to są błyszczące amerykańskie sprężyki, owady, większe daleko od naszych świętojańskich robaczków. Opowiadali mi Amerykanie, że gdy kilka takich żywych latarenek lata wśród nocy w izbie zamkniętej, to można sobie bez zapalenia świecy gazetę przeczytać.

Janek wpatrywał się długo w ten cudny widok. Dokoła panowała cisza, do dnia było już niedaleko, poznał to pan Wojciech z położenia gwiazd, bo nie miał zegarka. Radził więc Jankowi, żeby się na drugi bok obrócił i zasnął, sam mu dał dobry przykład, ziewnął, przeciągnął się na swojem posłaniu i już miał zachrapać, gdy nagle wśród ciszy nocnej dało się słyszeć dziwne jakieś mruczenie, jakby dziesięciu kotów naraz. Pan Wojciech zerwał się i chwycił Janka za rękę, mówiąc głosem przyciszonym:

— Czy słyszysz?

— Słyszę, panie Wojciechu, ale nie wiem, co to takiego; może jakie zwierzątko? — rzekł chłopczyk, nadsłuchując uważnie.

— A tak, zwierzątko, albo i cały zwierz — mówił pan Wojciech, rozglądając się wśród ciemności. — Aha! — dodał półgłosem — mam cię bratku, to moje mięso cię tu zwabiło; ale go nie liźniesz. Czy widzisz, chłopcze?

Janek nic nie widział, dopiero po chwili spostrzegł w stronie, skąd się owo dziwne mruczenie odzywało, dwa błyszczące punkciki, ale te nie latały w powietrzu, jak świetne owady, tylko na jednem miejscu migotały, niby rozżarzone węgle.

— To jaguar — rzekł pan Wojciech, zawsze przyciszonym głosem — siedź spokojnie tuż przy mnie, chłopcze, a nie obawiaj się, nie dam ci nic złego zrobić. Zresztą on tylko na mięso ostrzy zęby, nie rzuciłby się pewnie na żadnego z nas, bo to jest tchórz, ten tygrys amerykański. Mam ja wielką ochotę na jego piękną, centkowaną skórę, bo gdybym nie trafił, lub zranił go tylko lekko, ten łotr zechce się zemścić. Na wszelki wypadek mam i nóż myśliwski za pasem, a więc śmiało: raz, dwa, trzy!

I rozległ się strzał donośny, pan Wojciech mierzył w świecące punkciki, to jest w ślepie jaguara i musiał mu odrazu mózg roztrzaskać, bo zwierz ryknął straszliwie, lecz umilkł w tej samej chwili i słychać było wśród ziół i krzaków szelest upadającego cielska.

Pan Wojciech wykrzesał ogień krzesiwkiem, zapalił suchą gałązkę, która zapłonęła, jak łuczywo i trzymając Janka przy sobie, poszedł bardzo ostrożnie, z nożem w ręku, poszukać szczątków zabitego jaguara. Znalazł je po chwili, zwierz, ugodzony kulą w łeb, padł jakby rażony piorunem.

— Pyszna sztuka! — wołał pan Wojciech, oglądając go przy świetle swojej pochodni. Potem uwiązał mocny sznurek do nóg jaguara i zawlókł go do obozu.

Na wschodzie tymczasem szarzeć już zaczynało i wnet jasna smuga światła zarysowała się na niebie, rozszerzała się szybko, potem nagle, w jednej chwili prawie, strzeliły snopy promienne i słońce w całym blasku wypłynęło. W gorących zwrotnikowych krajach niema tak długiego świtu ani mroku, jak w naszym klimacie. Zrana w jednej chwili się rozjaśnia i słońce wschodzi, a wieczorem równie szybko zachodzi i ściemnia się zaraz.

— No, nie dała mi się wyspać ta żarłoczna bestya — rzekł pan Wojciech poziewa-

jąc — ale nie żałuję tego, będę miał przepyszną skórę.

Zabrał się zaraz do oporządkowania tej skóry; ściągnął ją ze zwierza, oczyścił, obsuszył trochę i upakował na koniu pod siodłem. Poczciwe to konisko nawykłe było do dźwigania ciężarów.

Dalsza podróż odbywała się bez żadnych przygód, a krórychby warto było opowiadać. Nakoniec zaczęły się ukazywać pola uprawiane, porosłe bawełną i trzciną cukrową, a przy nich i mieszkania ludzkie. Podróżnicy nasi spotkali kilku ludzi ubranych po europejsku i od nich dowiedzieli się, że miasto Panamaribo jest już nieda leko.

Jankowi serce uderzyło gwałtownie, w główce jego powstał dziwny zamęt, sam już nie wiedział, czy to, co czuje, jest radością, czy niepokojem. Chwilami zdawało mu się, że on wczoraj dopiero odszedł od ro dziców, że przez ten czas nic się zmienić nie mogło, a za chwilę musi ich zobaczyć i miał ochotę wykrzyknąć:

— Tatko, mamo to ja!

Potem znów migały mu przed oczyma okręty, to żaglowe, to parowe, a wszystkie płynęły do Europy i on nie mógł odgadnąć na którym byli rodzice.... bez niego! I znów biedny chłopczyna pocieszał się myślą, że w mieście są dzienniki i telegrafy, więc kiedyś musi przecież odszukać rodziców, byle już raz dostał się do miasta.

Pan Wojciech nic nie mówił, bo i sam był trochę niespokojny. Wiedział on, że pobyt w mieście jest kosztowny, że ogłoszenia w dziennikach i depesze telegraficzne także trzeba opłacać, a on nie miał dużo pieniędzy. Nie wspominał jednak o tem Jankowi, żeby go nie martwić, w duszy zaś postanowił nie opuszczać chłopca w żadnym razie i wszelkich starań dołożyć, aby odszukać jego rodziców.

Wjechali nareszcie do miasta. Jakże dziwnym wydał się Jankowi ruch miejski, po przebyciu tak długiego czasu w dzikich, bezludnych okolicach! Gwar ten ogłuszał go, odurzał, sam nie wiedział, co się z nim dzieje.

Pan Wojciech miał tu zajazd znajomy, tam więc się zatrzymali nasi podróżnicy, konia postawili w stajni, a sami, posiliwszy się nieco, wyszli pieszo do miasta. Myśliwiec odwykł był także od miejskiego życia, hałas uliczny odurzał go prawie tak samo, jak Janka, ciężkie myśli trapić go zaczynały, sam nie wiedział co począć, jak się wziąć do odszukania ludzi zupełnie nieznanych. Szedł więc w milczeniu, trzymając Janka za rękę i wzdychał. Chłopczyk był strapiony, niespokojny, nie śmiał słowa przemówić, jakby się obawiał dopytać czegoś niedobrego.

Już zaczynało się zamierzchać i pan Wojciech postanowił odłożyć dalsze kłopoty do dnia następnego.

— Idźmy spać — rzekł krótko — a przez noc może mi co rozumniejszego przyjdzie do głowy!

Janek westchnął, nic nie odpowiedział, wielki smutek go ogarnął. Przybył do Panamaribo i nie wiedział nawet, czy zastał rodziców, czy odpłynęli do Europy. Szedł więc z głową spuszczoną obok swojego opiekuna, gdy naraz drgnął cały.... Tuż za sobą usłyszał głos, który go najwyższą przejął radością, głos własnego ojca.

Chłopczyk był pewny, że się nie myli, w tej chwili znowu doznał takiego uczucia, jak gdyby wczoraj rozstał się z rodzicami i wczoraj głos ojca słyszał; stanął więc nagle i tak silnie szarpnął rękę pana Wojciecha, że i ten zatrzymał się zdziwiony, nie pojmując, co to miało znaczyć.

Ojciec Janka mówił obcym językiem do jakiegoś człowieka, który niósł za nim tlómok podróżny. Tak, to był ojciec, chłopczyna go poznał pomimo zmroku i dostrzegł

nawet, że był bardzo zmieniony, jakby postarzał; ale rzecz dziwna, Janek w tej pierwszej chwili nie był w stanie poskoczyć do niego, ani głosu wydobyć z piersi, zabrakło mu oddechu, trząsł się cały, stał nieruchomy, jakby w ziemię wrośnięty.

Ojciec tymczasem przeszedł tuż obok niego, nie zwracając najmniejszej uwagi na tych dwóch obcych przechodniów. Nie mógł odgadnąć, że syn ukochany, którego opłakiwał, był tuż przy nim, nic więc dziwnego, że się nawet nie odwrócił.

— Tatko! tatko! — krzyknął nakoniec chłopczyk głosem rozdzierającym, gdy już ojciec odszedł o parę kroków. Ten rzucił się nagle w tę stronę i krzyknął także:

— O Boże, Boże! — i nieprzytomny prawie przypadł do ukochanego dziecięcia.

Nie mógł już nic więcej wymówić, chwycił Janka na ręce i przez chwil kilka słychać było tylko przytłumione westchnienia i uściski.

Pan Wojciech stał w milczeniu, przypatrywał się ze wzruszeniem i radował w duszy, że Opatrzność tak dobrze wszystko urządziła i zakończyła.

Nakoniec ojciec Janka, nie pytając go o nic, zawołał:

— Do matki! chodźmy do matki! synu najdroższy. Ona biedna o mało życiem nie przypłaciła tego nieszczęścia i teraz jeszcze jest chorą; ale radość prędko ją uleczy. Spieszmy do mamy, Janeczku.

— Panie Wojciechu — rzekł Janek, wyciągając ręce do swego opiekuna. On czuł, jak wiele mu winien wdzięczności i nawet w tej chwili niewymownego szczęścia, zapomnieć o tem nie mógł. Teraz dopiero spostrzegł ojciec towarzysza chłopczyny i nie wiedząc jeszcze o niczem, dłoń do niego wyciągnął i rzekł tylko:

— Chodź pan z nami.

Po drodze dopiero dowiedział się o wszystkich przygodach małego Robinsona, o szczęśliwem spotkaniu jego z tym rodakiem wśród dzikiej puszczy i łatwo sobie wyobrazić, z jakiem uczuciem uściskał poczciwego pana Wojciecha.

Janek zadrżał cały od stóp do głowy, gdy ojciec powiedział, że dziś jeszcze wieczorem mieli oboje z matką wsiąść na okręt, odpływający do Europy. Ojciec odnosił właśnie pakunki do portu, gdy tak niespodzianie spotkali się na ulicy. Gdyby nie to, darmoby już nazajutrz pan Wojciech szukał rodziców Janka w Panamaribo.

Ojciec chciał zrazu zostawić chłopczynę na ulicy z panem Wojciechem i pójść naprzód przygotować matkę do jego widoku, ale nie miał odwagi rozstać się z nim nawet na jednę chwilę, zdawało mu się, że może mu znów zniknąć nagle z oczu. Zalecił więc tylko Jankowi, aby się ukrył za panem Wojciechem i tak weszli razem do ciemnej izdebki, gdzie biedna matka czekała powrotu ojca, gotowa do podróży.

— Nie odpłyniemy dziś jeszcze — rzekł ojciec, wchodząc na próg — spotkałem tu niespodzianie rodaka, myśliwego i on mi dziwne rzeczy opowiedział. Wraca właśnie z puszczy, gdzie napotkał dziecko białe, mówiące po polsku........ uspokój się, moja droga, jeszcze nic nie ma pewnego, ale kto wie, czy to nie nasz Janek ukochany.

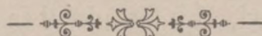
— Janek! mój Janek żyje! Boże wielki! — zawołała matka takim głosem, że nasz chłopczyk nie mógł się powstrzymać i zaniósł się głośnym płaczem.

— Janku, Janeczku! on tu jest! dziecię moje drogie, stracone, odzyskane! Boże, dzięki Ci! — i uszczęśliwiona matka padła na kolana, klęcząc, pochwyciła dziecko swoje w objęcia i oblewała je łzami i dziękowała Bogu, który jej dozwolił dożyć tej chwili.

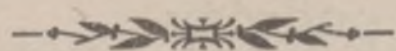
Na tem się kończy opowiadanie nasze. Rodzice Janka w kilka dni później odpłynę-

li wraz z nim do Europy. Ze sprzedaży gruntu i różnych posiewów, które im się bardzo dobrze udały, mieli fundusz dostateczny na podróż, a ojciec powiedział, że teraz, gdy ma znów dla kogo pracować, potrafi i w kraju zarobić na utrzymanie rodziny. Ameryka dała im się wszystkim we znaki i radzi byli uciec stąd jak najprędzej.

Namawiali pana Wojciecha, aby wraz z nimi powrócił do rodzinnego kraju, ale on nie miał tam już nikogo ze swoich, nawykł do puszczy i chciał w niej życia dokonać. A jednak gdy okręt odpływał z portu i na pomoście ukazał się po raz ostatni Janek z rodzicami i wszystko troje żegnali go rozczuleni, łza gruba stoczyła się po ogorzałej, pomarszczonej twarzy wojaka.



# Ufność dziecięca.



,,Ojcze! wszak powrócisz z kopalni'', pytała ośmioletnia Marya ojca swego, górnika, któremu codziennie towarzyszyła do pracy.

,,Naturalnie, moje dziecko'', odrzekł uśmiechnięty górnik, całując jedynaczkę swą czule w czoło.

,,Czy w kopalni można umrzeć?''

,,Pamiętaj, że nie umrę prędzej, dopóki ci o tem nie powiem''. I górnik spuścił się w podziemne przepaści, a mała Marya z trwogą wpatrywała się w ciemny, ponury, tajemniczy otwór, w którym znikł ojciec. Kochała ona ojca całą swą istotą. Nie miała też nikogo na świecie oprócz niego. Matka zmarła, gdy jeszcze była pacholęciem. Dla niego żyła, dla niego czuła.

Nagle rozchodzi się przerażająca wieść, że eksplozya gazów podziemnych wybuchła na kopalni ,,Bóg z nami''. Ogólny płacz i serce rozdzierające jęki ojców, matek, żon i dzieci.

Zaczęto wydobywać zabitych i rannych. Z przerażeniem i najwyższym niepokojem wpatrywała się Marya w każdego z nich. Ojca jednak nie było pomiędzy nimi. ,,Zapewne go teraz wciągną do góry'', powtarzała przez całe czterdzieści i osiem godzin, podczas których nie zmrużyła oka.

Wyciągnięto powoli wszystkich, ojca Maryi jednak nie było pomiędzy nimi. Znikł w niewytłómaczony sposób. Przeszukano każdy kącik, nigdzie nie napotkano śladu po tym górniku. Tymczasem Marya wciąż stała nad otworem, wyrzekając głosem, któryby i skały poruszył:

,,Szukajcie mego ojca! Ojcze, gdzieżeś to''.

,,Zapewnie w niebie!'' odparł inżynier, kierujący pracami ratunkowemi.

,,Nie!'' odparła mała głosem tak stanowczym, że to inżyniera uderzyło.

,,Dla czegoż nie?''

,,Bo ojciec mi powiedział, że prędzej nie umrze, dopóki mi o tem nie powie''.

,,Biedne ty moje dziecię!'' — litował się inżynier, który sam rodzinę i kochające dzieci mając, czuł, co to boleść dziecięcia.

,,Sprowadź mnie Pan w głąb, będę ojca szukała''.

,,Nie znajdziesz go''.

,,Będę szukała tak długo, aż go znajdę, a znaleść go muszę''.

Inżynier pozwolił spuścić ją do kopalni. Na chwilę tylko Marya stanęła wystraszona ponurym widokiem kopalni. Następnie poczęła wszędzie paluszkami swemi szukać. Szukała tak cały dzień, wołając bezustanie:

,,Ojcze odezwij się!''

Ponure echo odpowiadało jej na to jedynie. Inżynier musiał ją w końcu gwałtem wydobyć z kopalni. Oddał ją pewnej rodzinie, nakazawszy, ażeby jej samopas nie puszczano. Inżynier powoli zapomniał o zakopanym górniku i dziecięciu jego. Nagle ktoś pochwycił go za połę surduta. To Ma-

rya stała za nim i błagała, ażeby jej nie wziął za złe, że mimo zakazu znalazła się w kopalni. Schowała się do jakiegoś wózka, a górnik wciągnał go do kopalni, nie patrząc, czy się w nim co znajduje.

Poczęła ojca na nowo szukać.

,,Tu jest ojciec!'' — zawołała nagle.

Zdziwienie ogólne i niedowierzanie.

„Gdzie?''

,,Tu jest bluza jego. Tu mój ojciec się znajduje''.

Robotnicy spostrzegli w jednej ścianie w otworze coś modrego. Była to rzeczywiście bluza. Ścianę rozebrano i wkrótce ukazało się ciało zaginionego górnika.

Jeden okrzyk ,,ojcze'' i Marya rzuciła się na ojca, okrywając twarz jego martwą pocałunkami. Odsunięto ją powoli i przekonano się, że górnik żył, stracił jedynie przytomność dla braku powietrza i pożywienia. Zaniesiono go do domu i tam zaopiekowano należycie.

Powoli przychodził do siebie i po miesiącu, acz jeszcze nieco słaby, udał się do pracy.

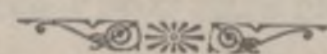
Maryą zaś tem czulej kochał i powiedział jej, że jedynie myśl, iż ona pozostałaby sierotą, utrzymała go wtedy przy życiu.

Dziecko mu zaś odpowiedziało:

,,O ojcze kochany! Pan Bóg to sprawił, ponieważ wiedział, iż mi przyrzekłeś nie prędzej umrzeć, dopókibyś mi tego nie był powiedział''.

Wiara i ufność dziecięcia wróciły mu ojca.

# Pilny Franuś i leniwy Piotruś.



Przypatrzcie się, kochane dziateczki, rycinie zamieszczonej na stronicy 633. Znajdziecie tam dwóch chłopczyków. Obaj pracują nad rozwiązaniem zadania rachunkowego. Pierwszy Franuś pracuje pilnie, liczy i mozoli się. Drugi Piotruś to leniwiec, któremu się uczyć nie chce, więc odpisuje rachunki od swego towarzysza. Miał on talent, był nawet chłopczykiem sprytnym, nie pozbawiony pamięci, cóż jednak, kiedy do nauki najmniejszej nie miał chęci.

Często przeto nauczyciel,
Złe lenistwa znając strony;
Mawiał z bólem i przykrością:
— Piotruś próżniak jest skończony!

Biedny kto nie chce uczyć się szczerze,
Nauki cenić nie umie,
Bo wiedzcie, chłopcy, wielka potęga,
Skarb wielki leży w rozumie.

Próżniaka nigdy nie cenią w świecie,
Nie ma on nigdzie uznania,
Więc, moi mili, uczcie się dobrze,
Starannie róbcie zadania.

Podczas gdy leniwy Piotruś zawsze odbierał nagany a często i karę za swe lenistwo, Franuś był bardzo wzorowym chłopcem, a nauczyciel często go pochwalił za jego pilność i przykładne prowadzenie się.

Szczęśliw, kto pilny, nie marnuje chwili,
Przyszłość mu życie osłodzi, umili,
A kto próżnuje, czy później, czy prędzej
Na pewno dojdzie do statniej nędzy.

